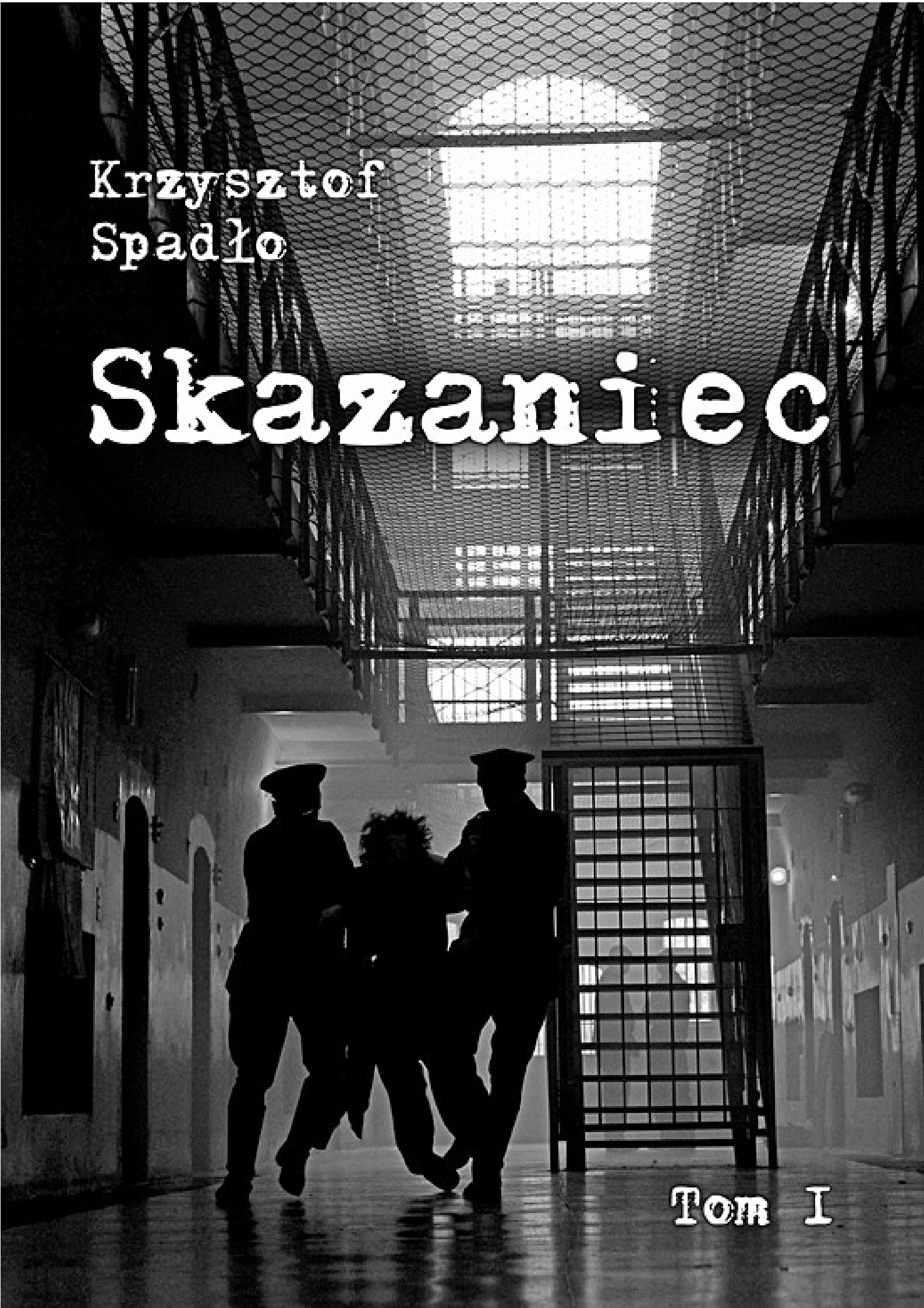




Krzysztof
Spadło

Skazaniec

TOM I

Krzysztof Spadło

Skazaniec

© Copyright by Krzysztof Spadło

Grafika i projekt okładki:
Hektor Werios & Dariusz Herbowski

ISBN:
978-83-937489-9-0
978-83-937489-5-2

Wydawca: Krzysztof Spadło
www.krzysztofspadlo.com
www.skazaniec.com
Kontakt: post@krzysztofspadlo.com

Korekta: Małgorzata Majewska

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

Skazaniec
TOM I - Na pohybel całemu światu!

Mojemu bratu Leszkowi

PROLOG

Miewałem takie dni w swoim życiu, kiedy czułem, że mój umysł zanurza się w otchłań szaleństwa. Wówczas niewiele brakowało, aby jedna przelotna myśl strąciła mnie w przepaść wyimaginowanego świata. Znałem takich, którzy nie potrafili się temu oprzeć i zupełnie bezsilni pogrążali się w koszmarnych krainach ciemności. Widziałem, jak stają się niewolnikami własnych demonów i fobii. Odchodzili przeważnie na dwa sposoby. Jednych ogarniało kamienne misterium, przepelnione milczącym zapomnieniem, a drugich rozpierała wściekłość. Zresztą co tu dużo mówić, w tak mrocznym miejscu jak więzienie we Wronkach każdy miał prawo sfiksować.

Nigdy nie zapomnę, kiedy we wrześniu 1925 – a swoją drogą, był to parszywy rok – kompletnie odbiło staremu Klockiewiczowi. Wtedy po raz pierwszy w życiu ujrzałem, jak zwykły człowiek znienacka przeistacza się w rozwścieczoną bestię.

Nazywaliśmy go „Kloc”, ale jego ksywa nie była tylko pochodną od nazwiska. Z wyglądu również przypominał prawdziwy kloc. Potężny, zwalisty, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ten jego charakterystyczny, ciężki, kołyszący chód. Zawsze sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, a kiedy się garbił, jego dłonie sięgały niemal kolan. Co dziwne, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział go podenerwowanego.

Pamiętam, że to była niedziela, jak zawsze słodka i leniwa. Jedyne dzień w tygodniu, kiedy strażnicy, wbrew zarządzeniu naczelnika, nie ponaglali nas przy posiłkach. Poranne słońce, pokonawszy więzienny mur, wpadało do stołówki przez duże, okratowane okna i na kilku stołach rozścieliło swoje złociste obrusy. Sączyliśmy cierpką kawę, siedzieliśmy jak paniska, rozprawialiśmy o bzdu-rach i chyba nikt nie zwrócił uwagi na to, że Kloc wygląda na jeszcze bardziej zmęczonego niż zazwyczaj. Brak apetytu, zmierzwione włosy i tępe spojrzenie były tutaj czymś zupełnie normalnym. Średnio raz w miesiącu każdemu trafiała się kiepska noc. Noc pełna dławiących koszmarów lub gorzkich łez.

Mimo panującego gwaru usłyszałem za plecami czyjś zatroskany głos:

– Kloc, co z tobą? Dobrze się czujesz? Hej, Kloc...

Machinalnie obróciłem głowę. Przeraził mnie widok starczej twarzy Klockiewicza. Podkrążone oczy jakby zapadły się bardziej w głęb czaszki i spoglądały na świat matowym, pustym wzrokiem. Widziałem wyraźnie, jak za drżącymi ustami, które przybrały siny odcień, z bólem zaciska zęby. Mięśnie żuchwy nerwowo pulsowały, unosząc się pod pergaminem pomarszczonych i wyblakłych policzków, a zorane bruzdami czoło połyskiwało szklistymi perłkami potu. W ogóle wydawał się skurczony i zapadnięty. Chyba wcale nie ruszył swojego śniadania, bo nadal leżało na blaszanej tacy tak, jakby przed chwilą odebrał je z okienka wydawki. Nagle jego nozdrza zaczęły nerwowo tikać, a oddech stał się szybki i płytki.

– Kloc, nie wygłupiaj się, do ciężkiej cholery – powiedział ktoś i wtedy się stało.

Ponadsześćdziesięcioletni mężczyzna wydobył z gardła nienaturalny, przerażający ryk, który rozbił się pośród ścian. Zanim oczy wszystkich zebranych powędrowały w jego kierunku, poderwał się na równe nogi i pchnął przed siebie duży, dębowy stół. Towarzystwo z drugiej strony runęło na nas pod ciężarem mebla. Przygniataliśmy się nawzajem, resztki jedzenia rozsypały się po kamiennej posadzce. Zrobiło się zamieszanie. Kątem oka dostrzegłem, że od strony wejścia biegnie kilku strażników. Jeden z więźniów starał się uspokoić rozszalałego Kłoca, ale osiągnął odwrotny skutek i Klockiewicz rzucił się na niego z pięściami. Chryste Panie, przemknęło mi przez myśl, kiedy ujrzałem, jak stary błyskawicznie przystacza się w rozwścieczonego tura. Jednym ruchem pochwycił w dłonie masywną ławę, uniósł ją ponad głową niczym Jurand ze Spychowa, zakręcił w powietrzu młynka i cisnął na oślep jak bezużyteczną kłodę. Krzyczał. Boże miłosierny, jak przeraźliwie krzyczał! Młócił tym swoimi wielgachnymi rękami, kopał gdzie popadło i zamieniał wszystko dookoła siebie w pobojowisko. W ten niedzielny poranek nasza stołówka przypominała pogańską arenę. W kręgu utworzonym przez zaskoczonych skazańców Kloc odstawiał swój ostatni szalony taniec.

Kilku klawiszy dzierżących w dłoniach drewniane pałki otoczyło starego, ale chyba nie bardzo wiedzieli, w jaki sposób zabrać się do rzeczy. Pierwszego z nich Kloc powalił jednym uderzeniem w klatkę piersiową. Mentalnie obrócił się na pięcie i rozkładając szeroko ręce, rzucił się na kolejnych dwóch. Chyba liczył na to, że jeśli przerwie ich kordon, będzie wolny. Wpadł na nich niczym smok i obydwaj mężczyźni runęli na podłogę. Widocznie

wtedy jego palce natknęły się na jakąś zbląkaną łyżkę. Zdążył jeszcze wziąć potężny zamach i zupełnie przypadkowo zatopił przedmiot w prawym oku Mroczkowskiego. Chwilę później stracił przytomność w lawinie drewnianych grzmotów i zamasztych kopniaków.

Tego dnia po raz ostatni widzieliśmy Kłoca. Co do Mroczkowskiego powiem wam, że nie był złym strażnikiem, i nawet go lubiłem. Miał szczęście, że przeżył, ale do końca swoich dni nosił na prawym oku czarną opaskę.

Wiele razy zastanawiałem się nad tym, co spotkało tego nieszczęsnego starca. Nie wymyśliłem jednak niczego mądrego. Było mnie stać, podobnie jak resztę chłopaków, tylko na wzruszenie ramionami i banalne stwierdzenie, że Kloc po prostu zwariował. Naprawdę czuliśmy jednak coś innego. Czuliśmy ten najgorszy rodzaj strachu, który – jeśli raz zakiełkuje w ludzkiej duszy – pozostaje na zawsze. Waruje na dnie wszelkich lęków i bojaźni, czasami odezwie się gwałtownym szarpnięciem, poganiając serce do oszalałego galopu i czeka... cierpliwie czeka na swoją szansę. Taki strach posiada niezwykłą moc, z jednej strony może być twoim największym wrogiem – bo wiesz, że jeśli cię dopadnie w chwili słabości, to jesteś stracony – z drugiej strony zaś może być twoim jedynym sprzymierzeńcem. Dzięki niemu masz świadomość, kim możesz się stać i dokąd może cię zaprowadzić. To coś takiego jak choroba i lekarstwo w jednym.

W każdym więzieniu świata obowiązują niepisane prawa, zasady i świętości. Są sprawy, o których się nigdy nie rozmawia, rzeczy, o które nigdy nie należy pytać, i uczucia, których się nigdy nie okazuje. Słabość nie ma miejsca bytu, a strach jest nierozłącznym towarzyszem.

Miewałem takie dni w swoim życiu, kiedy byłem zaledwie o krok, żeby skończyć z tym wszystkim. Chciałem jednym ruchem zatrzasać za sobą drzwi i zdmuchnąć płomień mojego życia. Każdy z nas był tutaj potencjalnym samobójcą. Znałem takich, jadałem z nimi przy jednym stole, chodziliśmy razem po spacerniaku. Czy wiecie, jakie to uczucie, kiedy pewnego ranka dowiadujesz się, że parę godzin temu pośród mroków nocy twój kumpel zadyndał na konopi albo podciął sobie żyły kawałkiem szkła?

Jest tysiąc powodów, by walczyć o przetrwanie, i milion, żeby targnąć się na życie. Kiedy nie ma nadziei, kiedy gasną ostatnie latarnie złudzeń, jaki jest sens dalszej egzystencji, albo raczej wegetacji. Doskonale poznałem oblicze śmierci, obcowałem z kostuchą jak z najśłodszą kochanką, spoglądałem jej w oczy, ale nigdy nie zdobyłem się na odwagę, by złożyć na jej trupich ustach ostatni pocałunek. Może dlatego, że miałem swój cel? A może po prostu za każdym razem brakowało mi odwagi?

Byli wśród nas i tacy, których skazano na śmierć w majestacie prawa. Na początku wydawało mi się, że ich podziwiam, ponieważ do samego końca grali twardych jak stal. Nie liczyli się z nikim i z niczym, siebie samych nazywali „elita”. Pewnie do dzisiaj miałbym o nich takie zdanie, ale kiedy pokutowałem ósmy rok z dożywocia, jednemu z klawiszy rozwiązał się język.

Tak się złożyło, że pewnego dnia wybrano mnie do ekipy, która miała posprzątać strych budynku administracyjnego. Poddasze było wypełnione stertą niepotrzebnych gratów, worów ze szmatami, połaciami duszącego kurzu

i tonami gołębih odchodów. Pośród masywnych, drewnianych krokwi rozpościerały się misternie utkane pajęczce sieci. Naczelnik Zalewski – nawiasem mówiąc, był z niego kawał sukinsyna – wpadł na pomysł, by na strychu urządzić archiwum. W naszej grupie sprzątaczy był jeden sznurowiec. Do waszej wiadomości, „sznurowcami” nazywaliśmy skazanych na śmierć. Ów człowiek chełpił się brutalnością i zepsuciem. Godzinami potrafił opowiadać o skrzywdzonych przez niego ludziach, zgwałconych kobietach i swojej życiowej misji, której motto miał wytatuowane na plecach. Litery pieczołowicie wydziergane mieszanką atramentu i sadzy układały się w zdanie pisane gotycką czcionką: „Urodziłem się po to, by czynić na ziemi piekło”. Wszyscy nazywali go „Zimny”, może i taki był, kto wie? W każdym razie uwielbiał stwarzać problemy i być zagrożeniem dla innych. Prowokował na każdym kroku, jakby tylko czekał na okazję, żeby dać upust drzeмиącej w nim agresji. Nikt z nas oczywiście nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w żadną bójkę, a już tym bardziej z człowiekiem, który gardził własnym życiem. Kiedy znaleźliśmy się na strychu, Zimny usiadł na spróchniałym krześle i stwierdził, że ma w dupie to całe porządkowanie. Było mi wszystko jedno, co będzie robił, ale swoim zachowaniem postawił strażników w dość niezręcznej sytuacji. Nie mogli sobie pozwolić na uległość w stosunku do skazanego. Utrata autorytetu w obecności więźniów była niedopuszczalna i mogła nawet oznaczać pożegnanie się z posadą. Powiem wam, że to były ciężkie czasy, na zewnątrz praca znaczyła – chleb. Gdyby wśród cyngli nie było Robalskiego, nasz twardziel dostałby taki łomot, że znowu przez miesiąc dochodziłby do siebie

w izbie chorych, co zdarzało mu się już nieraz. To właśnie Robalski jednym ruchem ręki powstrzymał swoich współpracowników. Podeszedł do sznurowca, stanął przed nim w rozkroku i spokojnym głosem oznajmił:

– Słuchaj, chłopcze, jestem tu dłużej niż ty i możesz mi wierzyć, że widziałem nie takich gierojów. Wiem, o co dba taka gnida jak ty! O twarz, prawda? Chcesz za imponować innym, pokazać, że twoje ciało i umysł są niczym skała. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, w kogo niebawem się zmienisz. Wiesz, jak to jest? Ktoregoś wieczoru przyjdziemy bez zapowiedzi, staniemy w drzwiach twojej celi, a ty w mig pojmiesz, że dzisiejszej nocy kat założy ci pętlę na szyję. Jeżeli twoje nerwy nie zawiodą, wyjdiesz z bloku o własnych siłach, ale kiedy znikniemy w korytarzu, wszystko się zmieni. Będziesz płakał jak dziecko, będziesz błagał i skomlał o litość, zaczniesz się szarpać i wierzgać, ale nasze dłonie pochwycą cię mocno. Oblejesz się lodowatym potem, może nawet tak jak inni narobisz w gacie i będziesz obiecywał poprawę. Wprowadzimy cię na drewniane podium, ksiądz udzieli ci ostatniej posługi, najpierw nałożą ci na głowę czarny kaptur, a potem poczujesz, jak sznur oplata twoją szyję. Będziesz krzyczał, błagając o wybaczenie, a w duchu przeklinał noc, kiedy cię spłodzono. Będziesz chciał do mamusi, ale nic z tego. Na koniec usłyszysz zgrzyt zapadni i poczujesz, że lecisz w dół. Niektórzy powiadają, że w takich chwilach człowiek widzi całe swoje życie. I nagle potworne szarpnięcie! – Zamilkł na moment i spojrzał mu prosto w oczy. – A wiesz, co ja zrobię następnego dnia? Opowiem każdemu więźniowi, którego znałeś, jak naprawdę wyglądał twój koniec. Wyobraź sobie, że już w dniu po-

chówku będą wspominali twoją marną osobę z największą pogardą, może jeden z nich odleje się nawet na twój grób. Chcesz tego, synu?! Jeśli tak, to siedź, odpoczywaj i nie ruszaj się z tego miejsca.

Zauważyłem, że oczy sznurowca zrobiły się nagle nerwowe i rozbiegane. Strzelał wzrokiem we wszystkich kierunkach, niczym skarcony przez ojca chłopiec. Chyba dotarło do jego świadomości, że jeśli chce zachować swoją próżność, musi teraz tańczyć, jak mu zagrają.

– Wąchaj mi dupę, śmierdzielu! – syknął przez poźółkle zęby za odchodzącym strażnikiem, po czym ruszył razem z nami do roboty.

Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, jakieś dwa miesiące później było tak, jak mówił Robalski. Przyszli po niego tuż przed ciszą nocną. Kiedy pod eskortą strażników przemierzał więzienny korytarz, zachowywał się godnie, jak przystało na człowieka z elity. Szedł na spotkanie ze śmiercią prężnym krokiem i z dumnie uniesioną głową. Co się stało potem? Nigdy nie dowiedzieliśmy się, jaki naprawdę był jego koniec.

Miewałem takie dni w swoim życiu, kiedy podróżowałem po krainie marzeń i wyobrażałem sobie, jak mogło wyglądać moje życie. Nurtowały mnie pytania: kim mogłem zostać? czego dokonać? jakie miejsca zobaczyć? Chociaż doskonale wiedziałem, że takie rozmyślania są gorsze od całej zgryzoty świata, nie potrafiłem powstrzymać uporczywych myśli. Kiedy człowiek raz zapuścił się na ścieżki urojonej rzeczywistości, wpadał w bezlitosną pułapkę własnych pragnień. Potrzebowałem wielu lat, aby zrozumieć, że nadzieja jest mrzonką, a moim przeznacze-

niem jest cierpienie. Najgorsze w więzieniu były noce pełne samotności i odrętwienia. Bezsenne godziny wlokły się w nieskończoność. Tylko ja i blask księżyca, przeciskający się pomiędzy kratami więziennego okna. Zwinięty w kłębek, z twarzą wtuloną w cuchnącą poduszkę płakałem za utraconym rajem.

Właściwie nie mam ochoty opowiadać wam o mojej rozpacz, tęsknocie i żalu, tym bardziej dzisiaj, kiedy już jestem u schyłku życia. Teraz moim jedynym wrogiem jest umykający czas. Nie spłodziłem syna, nie zbudowałem domu, nie posadziłem drzewa. Nic po sobie nie zostawiłem. Czy to nie jest przerażające?! Od dawna chciałem zapisać swoje wspomnienia, ale do tej pory nic z tego nie wyszło. Swoją drogą, nadal powątpiewam we własne siły. W głębi duszy chciałem tego dokonać, i to nawet bardzo, ale boję się, że nie zdążę skończyć, zanim krew na zawsze zastygnie w moich żyłach.

Stare powiedzenie mówi, że lepiej późno niż wcale. Wiem sam po sobie, przeżyłem blisko ćwierć wieku, zanim nauczyłem się czytać i pisać! Kiedy jednak poznałem litery i kiedy już potrafiłem rozszyfrować wyrazy, książki stały się moimi przyjaciółmi. Skromną, więzienną bibliotekę we Wronkach strawiłem w całości niezliczoną ilość razy, prawie do znudzenia. Natura obdarzyła mnie dobrą pamięcią, nawet teraz mógłbym wyrecytować dwanaście ksiąg *Pana Tadeusza*. Oczywiście mogłoby się zdarzyć, że potknąłbym się kilka razy, ale dopiąłbym celu. Wystukanie na pamięć epopei zajęło mi w pudle tylko dwa lata. Śmieszna sprawa, poszło o zakład, o jedyne dziesięć paczek papierosów i dziesięć opakowań herbaty, ale o tym może później. Do czego jednak zmierzam? Chciałbym,

żeby wspomnienia, które wciąż niezatarte żyją w mojej pamięci, nie umarły wraz ze mną. Takie właśnie mam marzenie. Jedyne, co mogę po sobie zostawić, to opowieść o własnym życiu. Nie oczekuję od was współczucia ani zrozumienia, nie mam także zamiaru rozgrzeszać nikogo ani wybaczać winnym, nie o to chodzi.

Opowiem wam o podłości, bólu, cierpieniu i nadziei, która potrafi zabijać. Doskonale wiem, do jakich granic może posunąć się istota rodzaju ludzkiego. Znam świat wybrukowany zepsuciem i zwyrodnieniem, gdzie koszmar jest normalnością, a śmierć – krótkim i gorzkim westchnieniem. Opowiem wam o prawdziwej wolności, obsesyjnej, pełnej goryczy zemście, wątpieniu, niegodziwości i przewrotności losu, przyjaźni okupionej krwią, marzeniach prowadzących na szafot i przede wszystkim o ludziach, których istnienie przeminęło jak beztroski podmuch wiatru.

TOM I

Na pochybel całemu światu!

W dzieciństwie czasami widywałem na ulicach Kalisza automobile. Wystarczyło, aby rozległ się w pobliżu charakterystyczny dźwięk silnika, a już z chłopakami biegliśmy na złamanie karku, żeby zobaczyć, jak dostojnie potrafi sunąć taka maszyna. Piękna i dumna. Połyskująca w promieniach słońca oślepiającym chromem i wypucowanym lakierem, niczym bajeczny rumak w stalowej zbroi. Możecie mi wierzyć na słowo, ale nie było takiego przechodnia, który odmówiłby sobie spojrzenia na ów cud techniki. Nigdy bym nie przypuszczał – do dziś nie mogę uwierzyć – że moja pierwsza podróż spalinowym wehikułem powiodła mnie wprost do ponurego miejsca mojego zesłania.

Takich dni i takich podróży nie zapomina się do końca życia.

Był piątek, 21 lipca 1922 roku.

Ze snu wyszarpał mnie miarowy i energiczny odgłos kroków rozbrzmiewających w korytarzu. Nie trudno sobie wyobrazić, jaki dźwięk wydają o czwartej nad ranem podkute metalowymi zelówkami podeszwy butów, składając pocałunki na kamiennej posadzce. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale wiedziałem, że idą po mnie, że nadszedł już mój czas. Otworzyłem oczy i nasłuchiwałem. Byli coraz bliżej. Wstrzymałem oddech. Po drugiej stronie drzwi zbliżały się prężne tąpnięcia. Dudniły w tej bezdusznej ciszy, jakby maszerował cały batalion rekrutów. Moje serce pochwyciło ten sam rytm i poczułem, jak fala nieprzyjemnego ciepła rozlewa się w moim ciele. Obroża strachu ścisnęła mi krtań. Nagle rozległo się znajome

szurnięcie krążka w wizjerze drzwi. Ktoś zerknął przez mały otwór do wnętrza celi, a potem pociągnął za masywną zasuwę. Solidne zawiasy drewnianych drzwi złowieszczo zaskrzypiały. Ponury zgrzyt stalowej melodii na chwilę uraczył ten kawałek świata swoją króciutką etiudą i momentalnie rozpierzchnął się w sennej przestrzeni.

Moim oczom ukazały się dwie postacie odziane w wojskowe mundury. Czarne buty z wysokimi cholewami aż błyszczały od nieskazitelności. Perfekcyjnie wypastowane sprawiały wrażenie, że można się przejrzeć w ich zaokrąglonych czubkach. Pieczołowicie wyprasowane bryczesy, równomiernie obciągnięte bluzy, wszystko dopięte na ostatni guzik. A te rogatywki z czerwonym otokiem i srebrnym orzełkiem nad daszkiem! Ech, nie ma co, prezentowali się wyśmienicie!